

Ignacy Chrzanowski

Odczyt o Mickiewiczu wygłoszony d. 11. grudnia r. 1916 we Lwowie na rzecz "Pamiętnika Literackiego"

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce
literatury polskiej 15/1/4, 32-44

1917

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

IGN. CHRZANOWSKI.

Odczyt o Mickiewiczu

wygodzony d. 11. grudnia r. 1916 we Lwowie na rzecz „Pamiętnika Literackiego“.

Gdyby nas zapytano, kto jest największym poetą polskim, to prawdopodobnie odpowiedzi brzmiałyby różnie: jedni by się oświadczyli za Mickiewiczem, inni za Słowackim, a może jeszcze inni za Krasińskim. Na pytanie jednak, kto z naszych wielkich poetów był największym, najbardziej typowym r o m a n t y k i e m, można być prawie pewnym, że odpowiedź, uzyskana ogromną większością głosów, brzmiałaby: Słowacki. I taka odpowiedź byłaby zjawiskiem zupełnie zrozumiałem, jeśli się zważy, co się u nas pospolicie przez romantyzm pojmuje. Ze wszystkich poetów polskich Słowacki miał najbujniejszą i najlotniejszą fantazyę, na której skrzydłach uciekał z ziemi i wznosił się w nadobłoczne sfery; i tam, dopiero tam, znajdował nie tylko spokój i szczęście, ale wogóle sens i wartość życia: dlatego to jego poezya tak mało ma w sobie ziemskiego, dlatego to tak bardzo dusze nasze rozmarza, tak daleko je trzyma od ziemi i jej pyłu. Tymczasem poezya Mickiewicza posiada najczęściej, przynajmniej w mniemaniu ogółu, pierwiastek bardziej ziemski; jeśli oderwie od ziemi duszę, to poto, żeby jej niebawem o niej przypomnieć. *Król Duch* i *Pan Tadeusz* — oto w mniemaniu ogółu dwa bieżuny poezyi.

I nie ulega żadnej wątpliwości, że w tym popularnym poglądzie na charakter poezyi dwóch największych poetów naszych jest dużo nie tylko słuszności, ale i trafnego zrozumienia czy odczucia jednej z dwóch głównych różnic pomiędzy temi dwiema poezyami, — nie tej różnicy, którą tak głęboko zrozumiał i ujął Krasiński, określając poezyę Mickiewicza jako dośrodkową, a Słowackiego jako odśrodkową, tylko tej, że, kiedy Słowacki najczęściej, jeżeli nie zawsze, tonął w „otchłań marzenia“, kiedy wyobraźnią ulatywał

 Za okresy widzenia, za wzroku przedmioty;
kiedy nadewszystko lubił patrzeć

 w niewidziane oczyma obrazy:

to Mickiewicz

Nigdy od krain myśli nie odłamał życia,
Sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy.

Otóż w mniemaniu ogółu nie ten jest romantykiem *par excellence*, kto nie odrywa myśli od życia, kto wiąże z sobą dwa niezgodne światy, prawdziwy i wymarzony, tylko właśnie ten, kto myśl od życia odrywa i buduje sobie świat nowy, własny, kto z ziemią bierze rozbrat. Oto dlatego Słowacki uchodzi za największego ze wszystkich romantyków polskich.

Tymczasem romantyzm w swoich pierwotnych źródłach historycznych, w swojej najgłębszej istocie, wcale nie jest oderwaniem się od życia, ale, zupełnie przeciwnie, jest nawrotem do życia, ku jego najpotężniejszym sprężynom, jest protestem, czynnym protestem, całokształtu życia duchowego przeciwko jego okaleczaniu, przeciwko despotycznemu władztwu rozumu nad irracjonalnymi pierwiastkami duszy, protestem, nie usuwającym rozumu od pracy nad budową życia, ale upominającym się o prawo udziału w tej budowie także dla innych władz duszy. Największym czynem romantyzmu była walka o pełnię i wolność życia duchowego, które się nie da na długo wtłoczyć w żaden schemat aprioryczny, wszystko jedno, czy wytworzony przez myśl, czy przez uczucie, czy przez fantazję, — walka z wszelkiego rodzaju martwemi prawdami dla wywalczenia zwycięstwa prawdzie żywej, t. j. tej prawdzie, że najwyższym prawem życia, rozstrzygającym o jego kierunku, jest samo życie, niezmiennie wprowadzające w swojej istocie, lecz wiecznie płynące, zmienne nie tylko w swoich widomych objawach, ale także ideałach. Tak, bo tylko niektóre ideały mają wartość nieśmiertelną, niektóre tylko są (jak się wyraził Rudolf Eucken) prawdami nadhistorycznymi: inne są prawdami już tylko historycznymi, to znaczy zmiennymi.

Jeżeli tak będziemy pojmowali romantyzm, to na pytanie, kto z pośród wielkich budowniczków duchowego życia polskiego w XIX wieku był największym romantykiem, kto dokonał największego czynu romantycznego, odpowiedź może być tylko jedna: Mickiewicz! Gwiazdą przewodnią życia zarówno, jak poezji, była mu zawsze żywa prawda, walka o jej zwycięstwo z prawdami martwemi. I w tej to walce właśnie »sprzął razem i powiązał dwa niezgodne światy«, świat rzeczywistości ze światem idealnym. Mocno, jak dąb w ziemię, wrósł Mickiewicz w rzeczywistość; ona mu była nie tylko areną, ale i fundamentem, działalności, i jak mityczny Anteusz silny był tylko wtedy, kiedy się na tym fundamencie opierał: ale je d n o c z e ś n i e nie tracił z oczu ideału, tylko że, inaczej jak to tak często bywa, jego umiłowanie nie odrywało go od rzeczywistości; on wśród niej pozostawał, aby ją na jego wyżyny dźwignąć i tem ją uszczęśliwić.

W takiej organizacyi duchowej Mickiewicza, w genialnej umiejętności, czy też jakiejś błogosławionej konieczności, sprzęgnięcia z sobą dwóch światów ma swoje źródło, częściowe przynajmniej, ta wyjątkowa rola, jaką ten człowiek odgrywa w historii nie tylko literatury polskiej, ale wogóle duchowego życia polskiego: ani jeden z wielkich poetów naszych nie jest w tym stopniu, co on, poetą narodowym. Dlaczego? Wielkim poetą narodowym jest nie ten, co się wzniesie ponad teren duchowy swojego narodu na niebotyczne wyżyny i stamtąd rozpacza przed nim wzniosłe ideały: ideał, jeżeli nie ma organicznej łączności z rzeczywistością, jeżeli nie z niej jest rodem, jeżeli nie ma ścisłego związku z przeszłym i teraźniejszym życiem narodu, nigdy do jego duszy mocno, a nadewszystko skutecznie, nie przemówi. Otóż Mickiewicz był ze swego narodu kość z kości i krew z krwi i powiedział szczerą prawdę, kiedy wołał do Boga:

Teraz duszą jam w moją ojczyznę wcielony,
Ciałem połknąłem jej duszę;

był z życiem narodu tak mocno związany, jak żaden inny poeta, nie wyłączając Słowackiego ani Krasińskiego: bo ci obydwaj nieraz tak wysoko wznosili się ponad rzeczywisty poziom życia i duszy narodu, że tracili z niemi ścisły związek, co więcej, czasami uciekali od nich, czasami miłość ojczyzny w ich sercach była miłością ojczyzny nie rzeczywistej, tylko wymarzonej, lepszej od rzeczywistej; a dla ojczyzny rzeczywistej gościły czasem w ich sercu niechęć i żal. Z wielkich poetów jeden jedyny Mickiewicz, chociaż się także czuł od swego narodu wyższym (co z taką pięknosciami i z taką miłością przemówiło w *Panu Tadeuszu* jako humor) i chociaż pragnął go dźwignąć na wyżyny ponad wszystkie narody świata, kochał go takim, jakim był. On jest jedynym jedynym, o którym wolno powiedzieć, że kochał swój naród jak matka, to znaczy jak ta jedyna, ta dziwna na bożym świecie istota, która posiada tę wielką sztukę, a raczej takie błogosławione serce, że tem więcej kocha swe dziecko, im ono jest nie tylko nieszczęśliwsze, ale i gorsze. On jeden jedyny z poetów był, żeby użyć jego własnej terminologii, człowiekiem-Polakiem wiecznym, bo wchłonął w swą duszę wszystkie pierwiastki tradycyi narodowej i ogarnął miłośnie całą teraźniejszość narodu; i z nich dopiero, z przeszłości i teraźniejszości, chciał, podnosząc je ku ideałowi, budować przyszłość.

Kiedy znakomity rzeźbiarz francuski w swoim projekcie pomnika paryskiego dla Mickiewicza dawał mu w jedną rękę, podniesioną do góry, pochodnię płonąca, to chciał z pewnością wyobrazić ten ogień niebieski, który się palił w sercu Mickiewicza, to niebieskie światło ideału, które on, jako poeta i wieszcz, rozpałał przed swoim narodem, żeby nie błądził. Lecz kiedy mu

w drugą rękę dawał kostur pielgrzymi, co chciał wyobrazić? czy to, że Mickiewicz był rzeczywiście pielgrzymem, że się tułał po obcej ziemi? Może, ale i to może być — i w takim razie ten pomnik, który oby stanął kiedyś w Paryżu, byłby nie tylko pięknym, ale i prawdziwym symbolem życia i poezji Mickiewicza — że kostur oznacza, iż Mickiewicz stał twardo na ziemi, wśród swego narodu, nie chcąc się od niego oddalać, a jeśli się oddalał i wznosił na wyżyny, to nie po to, żeby z nich na swój naród z dumą i pogardą spoglądać, ale żeby go na nie siłą swego kochającego serca wciągnąć.

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
 Że według bożego rozkazu
 Kto nie dotknął ziemi ni razu,
 Ten nigdy nie może być w niebie:

Jak każda myśl w poezji Mickiewicza, tak i ta jest jego własnym głębokim przeżyciem uczuciowym, głosem nie tylko jego rozumu, ale i serca; i rozum i serce mówiły mu, że niema nieba bez ziemi, ideału bez rzeczywistości, że zadaniem człowieka jest nie uciekać z ziemi do nieba, tylko na ziemi budować niebo, Królestwo Boże, a zadaniem poety jest nie bujać sobie w sferze ideału, tylko go znieść z nieba na ziemię i pokazać ludziom. Oto filozofia życia zarówno, jak poezji Mickiewicza. I nigdy jeszcze przedtem i już nigdy potem w Polsce nie było doskonalszej jedności, wspanialszej harmonii wielkiej poezji z wielkim życiem. Słowacki — któż o tem wątpi? — był wielkim poetą, ale wielkim człowiekiem nie nazwali go nawet jego najwięksi wielbiciele. Krasińskiego także nie.

Historycy literatury, jak za granicą, tak i u nas, w swej dbałości o możliwie dokładne życiorysy wielkich poetów nieraz wpadają w przesadę, w zbyteczną drobiazgowość, wyciągając na jaw takie nieraz szczegóły, które (mniejsza, że nie ciekawe) są zupełnie niepotrzebne do wyjaśnienia twórczości. Często poeci wychodzą na tem źle, mianowicie jako ludzie; często okazuje się, że, jak sobie doskonale zdawał z tego sprawę Krasiński, strumień piękności płynął wprawdzie przez nich, ale oni sami nie byli pięknnością. I nieraz, kiedy się czyta biografie znakomych poetów, przychodzi na pamięć dowcipna ironia Heinego, że się nam gwiazdy na niebie dlatego tylko wydają tak pięknymi i świetnymi, że jesteśmy od nich daleko i że nie znamy ich życia prywatnego, bo gdybyśmy je znali, toby się okazało, że są gwiazdy, które kłamią i żebrzą, które się całują i wzajemnie zdradzają, które schlebają nie tylko wrogom, ale, co jest jeszcze wstrętniejsze, także przyjaciółom.

Ale Mickiewicz należy do wyjątków: jego gwiazda, im jest nas bliżej, tem świetniejszy ma blask.

* * *

Już w młodości duch jego poleciał na wyżyny. A kiedy swoim orłem okiem i pałającym miłością sercem spojrzął z wyżyn na ziemię, cóż na niej ujrzał?

Obszar gnuśności, zalany odmětem,

odmětem samolubstwa. Lecz ten widok nie zniechęcił do ziemi młodocianej duszy, ale przeciwnie dodał mocy i hartu jej skrzydłom, na których będzie raz po raz zlatywała na ziemię, aby ją dźwigać na własne wyżyny.

Nic znamiennejszego dla historii młodocianego ducha Mickiewicza, jak *Oda do młodości*: ta pierwsza jego wielka poezya jest wprawdzie pieśnią miłości, ale — inaczej jak pierwsze pieśni innych poetów — miłości nie ukochanej kobiety i nawet nie własnego narodu, ale całego świata. Głęboko i raz na zawsze zapadł mu w serce ideał humanitarny XVIII stulecia, który kochać i czcić nauczyli go jego wychowawcy wileńscy, ludzie wieku oświecenia: wziął od nich ideał — bez ich intelektualizmu, któremu się już w młodości przeciwstawił — „czuciem i wiarą“.

Na razie kazała mu o tym ideale zapomnieć miłość „romantyczna“. Zdawało mu się przez pewien czas, że ta miłość to cały sens jego życia, że sam Bóg musi i powinien dać mu w niej szczęście, inaczej bowiem pogwałciłby swoje własne prawo odwieczne:

Ten sam Bóg stworzył miłość, który stworzył wdzięki!
On dusze obie łańcuchem uroku
Powiązał na wieki z sobą!

Omylił się Mickiewicz: łańcuch uroku nie był wieczny, łańcuch pękł. Przyszło rozczarowanie, zniechęcenie, rozpacz, a z nią samobójcza pokusa. Lecz nawet wśród rozpacz nie posunął się do bluźnierstwa, jak tylu innych romantyków, i będzie miał później zupełne prawo świadczyć sobie przed Bogiem:

Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem,
Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,
Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,
Przeciw niebu ich nie wzniosłem.

Przeciw niebu wzniesie pięści dopiero później, — kiedy nie za siebie, tylko za cały naród będzie cierpiał.

Zawiedziona miłość nie wyziębiła jego serca, nie zgasiła gwiazdy jego ducha; na chwilę tylko serce stało się zimne, na chwilę tylko gwiazda ducha zbladła. A co je na nowo rozżarzyło? co ją na nowo rozjaśniło? To, co dusze małe zniża i łaźnie, wielkie — podnosi i prostuje: nowe nieszczęście — więzienie.

Przedtem jeszcze, jak o tem wymownie świadczy czwarta część *Dziadów*, rozumiał Mickiewicz, że nie świat dla człowieka, tylko człowiek jest dla świata, że nie wolno szukać szczęścia w domu, kiedy go niema w ojczyźnie. W więzieniu to przekonanie nabrało stałości i mocy. Umarł Gustaw, narodził się Konrad, — jeszcze nie ten Konrad, który, zbolewały nieszczęściem ojczyzny, przepotężny natchnieniem, rozszalały pychą, wyzwie na bój śmiertelny Boga, ale dopiero Konrad I. — ten, który poprzy-
siągnął sobie

zemstę na wroga
Z Bogiem — i choćby mimo Boga,

ten, który dla wykonania tego ślubu porzuca nie tylko Aldonę, ale i — własne sumienie. Albo raczej chciał tylko Mickiewicz porzucić sumienie i — nie mógł, bo go ono opuścić nie chciało. Tragiczny konflikt miłości ojczyzny z sumieniem, ze zmysłem moralnym, z ideałem humanitarnym — to najgłębsza treść najlepszej części duszy Mickiewicza podczas jego pobytu w Rosyi.

Znam ja was! Każda piosnka Wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie:
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie,
Nam zostawiacie — chwałę i zgryzoty...
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Na kształt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsrozsze trucizny:
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Miłość ojczyzny nazywa trucizną — on, Mickiewicz?... Tak, albowiem rozumiał, że i taka świętość, jak miłość ojczyzny, kłócić się może z inną świętością, z ideałem moralności chrześcijańskiej, że może zatruwać dusze jadem nienawiści i zemsty. Lecz ta świadomość nie uwięziła zdrowej i silnej duszy Mickiewicza w pętach idei, martwej prawdy, nie uwikłała jej w zdradne sidła doktryny o cichej, biernej ofierze; jak przystało na romantyka, martwą prawdę zmogła prawda życia, ideę życia zwyciężyło życie, wątpliwości rozwiązała wola: Konrad zdradza i wyzwala ojczyznę. A Mickiewicz jego zdrady nie apoteozuje, ale też wcale jej nie potępia, bo wie, że bywają tak straszne chwile dziejowe, w których

jedyna broń niewolników jest zdrada,

i że odpowiedzialność za nią, za upodlenie dusz, które jest najstraszniejszym z wszystkich skutków niewoli, ponoszą nie ci, co w niej jęczą, tylko ci, co ich w nią wtrącają. Co nie przeszkadza, że, kiedy Konrad zdradził i celu swego dopiął, nie przedstawia go dręczący sumienie: i w tem właśnie wielkość duszy Mickiewicza.

A teraz konflikt inny, który się odbył w jego duszy także podczas pobytu w Rosyi, konflikt pomiędzy rzeczywistością jego własnego życia a jego ideałem. „Nie było dotąd przykładu — powie później Mickiewicz, już pod wpływem Towiańskiego — aby czyn ziemski był przedsięwzięty i prowadzony stosownie do tonu“. Otóż czyny ziemskie Mickiewicza podczas jego pobytu w Rosyi nie były prowadzone stosownie do tego wysokiego tonu, na który świadomym wysiłkiem woli i miłością ojczyzny nastroił swoją duszę w celi bazylikańskiej: w Odessie, jak to sam otwarcie wyznaje, prowadził życie „oryentalne“, i jego Anioł- stróż będzie mu za to później czynił gorskie wyrzuty:

Jam ci przyszłe szczęście głosił,
Na mych rękach w niebo nosił,
A tyś słyszał niebios dźwięki,
Jako pjanych uczt piosenki.

Na szczęście sumienie nie zasnęło, odzywało się raz po raz, póki wreszcie nie odniosło zwycięstwa — w nowem postanowieniu:

Lećmy! Szczęściem zostały pióra do powrotu,
Lećmy i nigdy odtąd nie zniżajmy lotu!

I tak będzie już zawsze, — do samej śmierci będą mu po każdym upadku zostawały pióra do powrotu, a nawet po każdym upadku będą mu wyrastały pióra nowe, na których lot będzie coraz wyższy. Już teraz zaczął się lot wspaniały, którego symbolem poetycznym jest *Farys*:

Myśl moja ostrzem leci w otchłanie błękitu,
Wyżej, wyżej i wyżej, aż do niebios szczytu.

Zbliżała się już chwila, kiedy lot będzie jeszcze śmielszy, jeszcze wyższy, kiedy zapragnie Mickiewicz „jak duch zrzucić ciało“ i „wylecieć z planet i gwiazd kołowrotu“. Skrzydła zaś do tego lotu wyrosną mu już za granicą; jednym z nich będzie wiara romantyczna w cudotwórczą potęgę poezyi, a drugim miłość ojczyzny, spotęgowana jej nieszczęściem.

Ale przedtem jeszcze dokonało się w duszy Mickiewicza odrodzenie religijne.

Podczas pobytu w Rosyi żywe uczucie religijne Mickiewicza nie zgasło wprawdzie, ale osłabło: w Rzymie buchnęło silniejszym jeszcze płomieniem, aniżeli dawniej, a podsyciła go świadoma i dobrowolna ofiara rozumu, jakiej się gwałtownie domagały: „czucie i wiara“:

Rozumie ludzki, tyś mały przed Panem!

Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża!

A promień wiary, który niebo wznieca,
 Topi twe krople, zapala twe gromy
 I twe pogodne zwierciadło oświeca —
 Ach! ty bez wiary byłbyś niewidomy.

Lecz to pogodne zwierciadło duszy Mickiewicza znowu się zasepiać i mroczyć zaczęło, bo oświecającą ją wiarę nagle zdruzgotał piorun 31 roku. A rozum-kusiciel ją pytał: „Jako? jest Bóg, który kocha? a czemuż to się stało?“ I teraz to urodził się Konrad II, który, widząc, co się dzieje na świecie, a nie mogąc pojąć, jak się to wszystko może zgodzić z jego i jego ojców wiarą w Boga, jako Miłość, wyzwiał na bój już nie wroga, ale Boga, wznosił się — na skrzydłach wiary w potęgę swojej własnej poezji i miłości ojczyzny — tam, „gdzie graniczą Stwórca i natura“, żeby błagać Boga o rząd dusz polskich. A gdy w odpowiedzi usłyszał milczenie, wyrwał mu się z piersi, miłością milionów i cierpieniem milionów brzemiennie, okrzyk, a raczej krzyk okropny:

Kłamca, kto Ciebie nazywał miłością!

A kiedy tak krzyczał, a kiedy tak kochał, a kiedy tak cierpiał, wówczas był naprawdę Milionem, albowiem

...ta miłość moja na świecie,
 Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
 Jak owad na róży kwiecie,
 Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku:
 Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
 Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
 Przycisnąłem tu, do łona,
 Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec.

Lecz po tym wybuchu rozpacz nastąpił akt skruchy i pokory, a w tym akcie odzyskał Mickiewicz chwilowo straconą wiarę w Boga, jako Miłość. I teraz zlała się ta wiara w najdoskonalszą harmonię z miłością ojczyzny: uwierzył Mickiewicz, że Bóg wie, co robi, że przeznaczył naród polski do tego, aby zaśpiewał pieśń szczęśliwą całej ludzkości; i uwierzył, że tę pieśń naród polski zaśpiewa, o ile tylko, zanim jeszcze wybuchnie „wojna powszechna za wolność ludów“, będzie powiększał i polepszał własne dusze.

A ta mocna wiara w świetlaną przyszłość narodu, który nie tylko siebie, ale i ludzkość uszczęśliwi, wspaniała harmonia zarówno pomiędzy uczuciem religijnem a patriotycznym, jak pomiędzy miłością własnego narodu a miłością ludzkości, oraz coraz mocniej i głębiej wrastające w duszę przeświadczenie o najwyższości ideału etycznego: oto potężne współczynniki dojrzewania geniuszu poezyi, który też dopiero teraz doszedł do swego zenitu. Teraz dopiero Mickiewicz wyśpiewał tę swoją pieśń nad pieśniami, o której śmiało można powiedzieć, że w niej Bóg i człowiek, niebo i ziemia, ideał i rzeczywistość, miłość ojczyzny i miłość człowieka, natchnienie i sztuka — tworzą tak cudowną harmonię, na jaką się prócz Mickiewicza nie zdobył od czasów Dantego ani jeden poeta całego świata.

Jeżeli jednak historia literatury polskiej nie zna piękniejszej pieśni od *Pana Tadeusza*, to historia życia wielkich Polaków zna jedną pieśń, jeszcze piękniejszą, a tą pieśnią jest życie Mickiewicza po wyśpiewaniu pieśni królewskiej. Poeta zamilkł, ale człowiek wznosił się coraz wyżej, stwierdzając czynem własną naukę o powiększaniu i polepszaniu duszy, — zwłaszcza od czasu kiedy dusza jego dzięki temu geniuszowi religijnemu, którym był Andrzej Towiański, doznała potężnego wstrząśnienia religijnego i jeszcze silniej niż dawniej uwierzyła, że największą wartością życia jest moralność chrześcijańska. „Bóg czuwa nad światem i określił człowiekowi drogę, z której on bez szkody i cierpienia zboczyć nie może; ma człowiek wolę skrócić swą podróż albo ją przedłużyć, wolno mu, jeśli się podoba, całe wieki błędzić po manowcach, ale, narobiwszy kręgów, musi wrócić do punktu, z którego opuścił drogę prawdziwą”: te własne słowa Mickiewicza najlepiej ujmują najistotniejszą treść jego *Prelekcji paryskich* od czasu poznania Towiańskiego; to już nie historia literatury, to wspaniała nauka życia, to szukanie i znalezienie owego punktu, do którego człowiek, narobiwszy kręgów, musi wrócić. A co jest tym punktem? Jezus Chrystus, realizacja jego nauki w życiu prywatnem zarówno, jak publicznem, realizacja

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę:
Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.

A słowa te nie były w życiu Mickiewicza pustym dźwiękiem, były prawdą nie martwą, tylko żywą, za słowami poszły czyny: jego praca w Paryżu, jego podróż do Rzymu, jego rozmowa z Piusem IX, jego legion, jego podróż do Turcji i wreszcie — jego śmierć. Tak, i śmierć Mickiewicza była czynem, bo śmiercią bojownika za świętą sprawę. On w młodych latach jeszcze

na sztandarach jak pies się położył,

całe życie pod nimi i za nie walczył, przy nich i za nie umarł. A tych sztandarów były dwa: jeden z Orłem białym i Pogonią, a drugi — z Krzyżem.

Na białym płaszczu Mickiewicza, jak ślicznie powiedział Świętochowski, niema plam: jest tylko co najwyżej pył ziemi, od którego ani jeden z jej synów nie jest wolny.

To też my wszyscy, my, ludzie pospolici, zwyczajni, którzy w porównaniu z herosami ludzkości jesteśmy zawsze i zawsze tylko dziećmi, my mamy prawo i obowiązek uchylić czoła przed takim herosem jak Mickiewicz; on umiał to, czego my nie umiemy: nastrojać swą duszę na ton wysoki i do tego tonu dostrajać swoje życie.

On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu,
Kochał — i swoje ukochania wlewał w pierś całego narodu.

* * *

*

Są ludzie, którzy od młodości do grobu nie przestają być, ściśle biorąc, jednymi i tymi samymi ludźmi, o tyle że zachodzące w ich duszach różnice mają charakter raczej ilościowy aniżeli jakościowy; źródłem tych różnic jest poprostu czas: to ludzie, którzy nie pracują nad sobą moralnie. Takich, rozumie się, jest olbrzymia większość. Mogą być jednak pomiędzy nimi ludzie bardzo niepospolici, a nawet znakomici — ale nie na polu moralnem. Lecz są ludzie inni, w których duszach zachodzą zmiany, będące owocem nie tylko czasu i zewnętrznych okoliczności, ale także ich własnej pracy duchowej nad sobą. I wśród takich jednakże ludzi są różnice: u jednych praca duchowa może być objawem nie tyle charakteru, ile temperamentu, jakiegoś szczęśliwego fatalizmu, który ich prze ku coraz wyższym kręgom człowieczeństwa, tak, że to wznoszenie się nie jest tak dalece ich zasługą; jest ich szczęściem, ich błogosławieństwem, ich największą wartością realną, ale nie zasługą. Z wielkich poetów takim był nadewszystko Goethe.

Ale bywa także inaczej: praca duchowa człowieka nad sobą może być owocem nie temperamentu i nie przypadku, tylko charakteru, świadomej woli, może nie być posłuszeństwem naturze, ale raczej ciężką i zaciętą walką z naturą, walką, którą każe człowiekowi prowadzić jakiś silniejszy od natury nakaz kategoryczny. I wtedy ta walka jest nie tylko szczęściem dla człowieka, ale i jego zasługą. Takim człowiekiem był Schiller, który, wznosząc się na coraz wyższe stopnie człowieczeństwa, walczył z sobą, ze swoją naturą; jak Nietzsche, mając bolesną świadomość swojej bezsilności, wytworzył sobie ideał nadczłowieka, obdarzonego ogromną siłą, podobnie może i Schiller, mając świadomość, jak ciężko trzeba walczyć ze swą naturą, by się stać

dobrym człowiekiem, wytworzył sobie ideał „pięknej duszy“, tj. duszy, dla której praca moralna nad sobą jest nie ciężkim obowiązkiem, tylko rozkoszną wolnością. Do tego samego typu należał także z pośród wielkich poetów Dante: co w jego *Boskiej komedyi* jest (oprócz poetyckiej piękności) istotnie nieśmiertelnego, to jest wzięte z własnego życia, które się ciągle a ciągle stawało „życiem nowem“; czyli innemi słowy: wznoszenie się poety z czeluści piekielnych przez górę czyścową w sfery niebieskie jest nie tylko genialną poezją nauki katolickiej o życiu pozagrobowym, ale także własnym przeżyciem, a raczej całym łańcuchem własnych przeżyć, przeżyć wielkiego człowieka, który, posłuszny wewnętrznemu nakazowi religijno-moralnemu, wyrwał się, łamiąc i gwałcąc swą bujną naturę, z ziemskich wabików i sideł, dźwigał się wysiłkiem woli i na skrzydłach miłości Boga z ziemskiego błota i wspinał się na te wyżyny, gdzie króluje

Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.

Otóż do tego samego typu człowieka, co Dante i Schiller, należał i Mickiewicz. I on pisał się na wyżyny nie siłą swego temperamentu, który go z nich raczej ściągał, ile siłą charakteru, wysiłkiem woli. Jego ustawiczny postęp moralny nie był ani wolnym ćwiczeniem, ani wesołą igraszką, ani szczęśliwym przypadkiem, tylko ciężką pracą, nie posłuszeństwem naturze, tylko walką z nią. A w jakim kierunku odbywał się ten postęp? W innym, nierównie trudniejszym, niż postęp Goethego, tego wielkiego artysty życia, który nie tylko unikał cierpienia, ale nie doceniał jego ogromnej i zbawczej roli w życiu. O kierunku postępu duchowego Mickiewicza rozstrzygał jego zasadniczy pogląd na świat, pogląd nie artystyczny, tylko etyczny, nawskróś etyczny — w duchu chrześcijańskim, i właśnie dlatego podnoszący cierpienie do godności wielkiej wartości życia i potężnej dźwigni postępu moralnego i wszelkiego wogóle postępu.

Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
 Że według bożego rozkazu
 Kto nie doznał goryczy ni razu,
 Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Tak, zagadnienie życia to według Mickiewicza problemat nie estetyczny i nie problemat szczęścia albo nieszczęścia, tylko zagadnienie moralne: moralność chrześcijańska to fundament gmachu kultury. a raczej nie fundament, bo to jeszcze za mało, to istota, to główna treść kultury, to sam jej gmach; a wszystko inne — nauka, sztuka, szczęście — to już tylko materiały, potrzebny do budowy tego gmachu. Myśl tę nieraz wygłasza Mickiewicz w *Prelekcjach paryskich* z tą siłą ogromną, jaką zawsze

mają te przekonania człowieka, które są nie tylko jego poglądami, ale i przeżyciami uczuciowymi.

I ten etyczny pogląd na świat Mickiewicza, stwierdzony własnym życiem, tłumaczy nam jasno i dostatecznie, dlaczego jego poezja jest tak moralna, dlaczego bodaj czy nie naczelnymi, zasadniczymi jej motywami są czyn i cierpienie, dlaczego jest skarbnicą ideałów nie tylko narodowych, ale i chrześcijańskich.

* * *

Kłóć się nieraz ludzie, czy sztuka jest zawsze moralna i czy artyści powinni się o to troszczyć, żeby była moralna. Jedni mówią, że prawdziwa sztuka jest zawsze moralna, a na pytanie, co to jest prawdziwa sztuka, odpowiadają, że taka, która jest sama sobie celem, która jest „sztuką dla sztuki“. Inni mówią, że sztuka nie zawsze jest moralna, ale że powinna być zawsze moralna, nie jest bowiem dla sztuki, tylko dla ludzi, że inaczej będzie nieszcześciem ludzkości. Mylą się jedni i drudzy.

Historia literatury może przytoczyć wiele dowodów, że sztuka, która powstała pod hasłem „sztuka dla sztuki“, wcale nie zawsze jest moralna, że bardzo często przemycano pod tym płaszczkiem do królestwa sztuki różne bezeceństwa, różne „nagie dusze“ i „kulty ciała“, podobnie jak w epoce humanizmu przemycano do tego królestwa różne bezeceństwa pod płaszczkiem „ćwiczenia“ ojczystego języka literackiego. Lecz z drugiej strony i ci się mylą, którzy zarzucają sztuce jakieś obce cele, którzy wogóle mówią, jaką sztuka być powinna: jestto jedno wielkie niezrozumienie istoty sztuki. „Artysta — mówi w *Pogance* Żmichowska — tworzy tylko, tworzy zaś, bo ma zdolność i musi tworzyć, bo tego wymaga organizm całej jego istoty, — bo pszczoła także musi miód wydawać, kwiat musi pachnieć, woda rzeki musi płynąć, ale jak tworzy, na co tworzy, to jest w nim odrębnością“. Otóż to właśnie: artysta tworzy tak, jak musi, a więc nie tak, jak powinien. Bo przecie w stosunku do duszy artysty jego twórczość jest czem? objawem, fenomenem; fenomen zaś podlega prawom przyczynowości, nie celowości, to znaczy jest takim, jakim być musi. A jeżeli tak, jeżeli twórczość artysty jest taką, jaką być musi wskutek takiego, a nie innego, całokształtu jego duszy, to i sztuka, jako wpływ, jako skutek, jako owoc tej twórczości, jest także taką, jaką być musi. Więc i moralną będzie jedynie wtedy, kiedy moralną być musi, to znaczy wtedy, kiedy artysta jest człowiekiem moralnym, kiedy ma moralny pogląd na świat i kiedy ten pogląd stanowi nie tylko ideową, ale i uczuciową, częśćkę jego duszy, kiedy światłem swoim oświeca całkowity widnokrąg wizji poetyckiej.

Tak właśnie było w duszy Mickiewicza. Jego poezja musiała być moralną — to zasługa nie poety, nie jego twórczo-

ści, tylko człowieka, jego życia. Albo inaczej: moralność jego duszy była owocem jego własnej pracy duchowej, jego własnej wolnej i dobrej woli; ale moralność jego poezji była już tylko prostą koniecznością, z moralności duszy płynącą. Jak słowik kiedy kocha, nie może nie śpiewać, jak woda rzeki nie może nie płynąć, tak dusza poety, czysta, wielka, wzniosła, czująca i — zdrowa, nie może stworzyć pieśni brudnej, małej, poziomej, chłodnej i — chorej. Brud ziemski czołgał się nieraz do duszy Mickiewicza, kołatał do niej, nęcił ją i wabił: daremnie, odbijał się od niej, jak piłka od ściany, i, jak palma od Farysa, uciekał ze wstydem, że nie zmaścił czystego źródła ideałów moralnych.

I w poezji Mickiewicza są „dzieje grzechu“, a nawet bluźnierstwa i morderstwa, albowiem jest w niej rzeczywistość, jest prawda, która, jak słońce, musi mieć swój cień: ale jest także ideał, w imię którego toczy się walka z grzechem, a pobudką do niej jest sumienie, bronią — pokuta i skrucha, a wynikiem — odrodzenie człowieka.

Tak, raz jeszcze, nigdy jeszcze przedtem i nigdy już potem nie było w Polsce doskonalszej jedności wielkiej poezji z wielkim życiem, nigdy przedtem ani potem nie było poezji, w którejby tak mocno, jak dusza z ciałem, zrosły się ideał i rzeczywistość, dobro i piękno.

I dlatego poezja Mickiewicza to dla nas nie tylko wieczne źródło najwyższego piękna, to także nasze „księgi żywota“, „księgi narodu polskiego“, to zwierciadło nie tylko tej Polski, która była i jest, ale i tej, która być powinna i która — będzie.

Kraków.
